

## Ja, Wittgenstein

Czy pamiętam? Boże mój, zdaje mi się, że to było wczoraj. A może dziś rano? Może przed chwilą? Czy tę herbatę piję z tobą, czy z nim...?

Tamtego roku wróciłam do szkoły po feriach trochę później, niewinne przeziębienie zmieniło się raptem w poważne zapalenie płuc. Przeleżałam w łóżku chyba ze trzy tygodnie. Ta zima – co prawda – nie była tak męcząca jak tamta, poprzednia, co to wiesz... ale i tak dokuczliwa, ponura, zgryźliwa. Zimowa pora zawsze źle mnie nastraja, budzi we mnie różne strachy i zmyry, a jeszcze te okoliczności. Nie dziwota, że choroba całkiem mnie zmoęła. No, wróciłam przecież w końcu, może nawet za wcześnie; dyrektor krzywo patrzył na każdą dłuższą nieobecność. Wszędzie czaił się wróg, prawda? A może twoja nieobecność ma jakiś związek z owymi służbami, co chodzą na palcach i są niewidzialne, może wywahały, że potajemnie szykujesz (jemu, jemu tak naprawdę) chytrego psikusa, więcej – podle świństwo, z którego potem, on, dyrektor państwowej przecie placówki, przyzwoitej szkoły średniej, będzie musiał tłumaczyć się gęsto, spowiadać, wyjaśniać, wyjaśniać, wyjaśniać. Czemu to u niego akurat, czemu? Taki A. N. na przykład: niby cichy, spokojny, nie wadził nikomu, a tu... i już pół roku mija, jak zniknął.

Padął mokry, lepki śnieg. Przyszłam, pamiętam jak dziś, dobre pół godziny przed pierwszym dzwonkiem. Wiesz, po takich długich wakacjach trzeba przejrzeć dziennik, zobaczyć, kto już co zdążył i u kogo, zetrzeć, przynajmniej tę wierzchnią, warstwę kurzu w pokoiku na zapleczu, zeszkrobać, wypłukać pleśń ze szklanki, rozpuścić resztkę stwardniałego cukru w blaszanym pudełku, pokruszyć kawę w słoiczku (dobrze, nikt jej nie znalazł, schowanej za książkami), odtajać powoli, zmienić buty (no, najwyższy czas postarać się o nowe), przeczesać włosy i nabrać dużo, dużo powietrza w płuca. Wsunęłam się do nauczycielskiego, wysłuchałam śliskich komplementów nudnego, lepkiego jak tamten śnieg, geografa, zaczerwieniałam się, jak zwykle, podchodząc do zastępcy dyrektora, naszego endemicznego 07, rzuciłam coś zdawkowego w stronę dwóch głupich językowych gęsi, zarejestrowałam kątem oka parę zmian w grafiku lekcji, nareszcie uściśnięłam ciepłą, jak zawsze, jedyną przyjazną rękę polonistki. W końcu spojrzałam na niego po raz pierwszy.

Po raz pierwszy w życiu, bo był tu nowy.

I ta jego nowość między nami, ta jego jakaś inność, obcość, niedopasowanie nawet, w tym pokoju, w szkole, w małym, smutnym, prowincjonalnym miasteczku, gdzieś na południowym wschodzie śpiącego kamiennym snem kraju, między czterema ścianami pochylającymi ku

sobie ordynarne, zagrzybione lamperie, wśród pokrzywionych i chybotliwych mebli, w tym powietrzu zimowym, ledwie ogrzanym kopącym smętnie piecem i oddechami kilkorga zapadniętych w siebie, szarych, zgaszonych nauczycieli były tak oczywiste, jednocześnie tak dojmujące, wprost bolesne, że kiwnęłam tylko lekko głową i stanęłam na moment nieruchomo pod ścianą, przyglądając mu się bez słowa.

On zaś tkwił pod oknem i palił ogryzek papierosa; trzymał go, wiesz jak – w końcach palców, żeby wyssać z niego wszystko, każdy miligram nikotyny, pochłonąć każdy sześcienny centymetr czarnego, gryzącego dymu. Pamiętasz te sposoby. Na pewno przed trzydziestką, szczupły, niewysoki, strome czoło, ciemne, lekko falujące włosy, zaczesane do góry, niedoprasowana, rozpięta pod szyją koszula, szarobeżowa (jest, jest taki melanz kolorów) flanelowa marynarka. Na pozór też, jak to całe otoczenie, nijaki i zwyczajny; przecież cały naelektryzowany, naenergetyzowany, iskrzący. Zdawało się, że powietrze wokół niego wibruje (znasz to, gdy idzie na burzę – wszystko wydaje się uciekać od siebie). Przez krótką chwilę nie mogłam zrozumieć przyczyny. Spojrzałam szybko, ukradkiem w jego oczy. Ach, to z nich szła ta cała energia! Intensywnie skupione, jakby w tej właśnie chwili rozwiązywał jakiś trudny, ogromnie trudny, nieskończenie trudny problem, jakby teraz, właśnie teraz, decydował się los świata, zależąc tylko i wyłącznie od jego namysłu. Oczy, wpatrzone gdzieś do wewnątrz; jednocześnie, w tej samej chwili, przenikliwie obserwujące, penetrujące – rzeczy, ludzi, sytuacje, czas i przestrzeń. (Potem odkryłam coś jeszcze: niezależnie od tego jak stał i gdzie miał zwróconą głowę – odnosiłaś wrażenie, że spogląda zawsze z boku, jak gdyby miał tylko profil. Człowiek bez *en face*. Ludzie ukazani z profilu, choć może lepiej widoczni, nie są do końca poznawalni, a przez to wydają się obcy, jakby nieodgadnieni. Pamiętasz Egipcjan z sarkofagowych malowideł? I Asyryjczyków?). Zadzźwięczał dzwonek, drgnęłam i wyszłam na korytarz.

Na dużej przerwie sam do mnie podszedł.

„Jestem Ludwig Wittgenstein. Ha, ha, to żart oczywiście. Jestem Jakub... Piszę doktorat z wczesnego Wittgensteina, to znaczy wydaje mi się, że piszę, to znaczy – sądziłem jeszcze do niedawna, że piszę. Wywalili mnie ze studiów doktoranckich na Ujocie, to jest, mówiąc językiem urzędowym: relegowali. Nie za brak postępów, bo postępy były, są, a jakże, nawet znaczne, a za – jak by tu rzec – nieprawomyślność. To są fakty, a przecież one kreują rzeczywistość”. Nachylił się do mnie. Poczulałam chłodny, szybki oddech na swojej szyi. „Za uczestnictwo, co tłumaczy się: za usiłowanie. Bez odwołania, ale ja będę się odwoływał!”. Podniósł na moment głos, ale zaraz cicho dodał: „Tutaj, na razie, będę uczył matematyki i może fizyki. Dobrze i to, poza tym ja lubię to Pogórze”.

„Joanna. Kuzynka Darwina, ale dalsza krewna. Z bocznej gałęzi. Nie będę się odwoływać. Cóż, trudno, nie każdy rodzi się odkrywcą albo myślicielem. I nie wiem, kto zacz, ów Wittgenstein”. „Nie przypuszczam, żeby ktoś w tej dziurze wiedział; och, przepraszam cię... panią, za ten nietakt. Ale chyba nie będziemy brnąć w formalizmy... jestem Jakub. Jakub, a nie Kuba”. W ten sposób obraził mnie już przy pierwszym kontakcie, a może po prostu nadał naszej znajomości właściwy, poprawny wymiar. Mistrza i uczennicy. Mistrza i Małgorzaty. Mędrca i ignorantki. To nie było wtedy jednak tak oczywiste i nie dążyłam specjalnie do podtrzymania znajomości.

On tymczasem usiłował nadać swojej u nas obecności kształt wyrazisty i nie poddać się powszechnemu wymieszaniu kolorów i przygaszeniu świateł. Zrazu nieufna i poirytowana, zaczęłam go obserwować. No dobrze, Wittgenstein, 1889–1951. *Tractatus logico-philosophicus*. Inne dzieła w większości za życia filozofa nieopublikowane. Filozofia analityczna. Encyklopedia. A Jakub ruszył ostro do przodu. Po dwóch tygodniach na tablicy ogłoszeń w szkolnym korytarzu ogłoszenie: „Filozofia niemetafizyczna pierwszej połowy XX wieku. Wszyscy (podkreślone) bardziej lub mniej zainteresowani będą mile widziani. Wykład w przystępnej formie”. Takiej samej treści anons w miejskiej bibliotece. „Seminarium” odbyło się w czwartek po południu, w porze zapewne wielce dla wszystkich dogodnej. Byłam ja, polonistka, dwie panie z biblioteki, księgarz pan Piotr, Rajewski – stary geolog, i nasz prelegent. Po wykładzie kierowniczka biblioteki zaparzyła bohatercko kawę dla wszystkich. „Dobra kawa, mocna. Wittgenstein też, tak jak ja, uczył w szkole. Tyle że on, zrażony do filozoficzno-akademickiej sztampy i uniwersyteckiej miazgi, sam wybrał sobie taki los. A ja zostałam do tego przymuszony. Ale się nie wycofam! Wiecie państwo, on uczył w szkołach podstawowych, w górskich wioskach w Trattenbach i Puchberg, i w szkole średniej, w miasteczku Hassbach. W Austrii. Poza tym – to geniusz. Mówi się, że było trzech ludzi, którzy naprawdę rozumieli, co to filozofia: Arystoteles, Kant i Wittgenstein. Dla mnie jednak on był największy. Przy tym zajmował się filozofią tylko przy okazji. Jeszcze projektował i budował domy, silniki, w czasie jednej wojny walczył jako zwykły żołnierz, w czasie drugiej – pracował jako laborant. No i uczył dzieci”. „Ja... ja w młodości czytywałem Hegła. Duch...”. „Hegel?! Metafizyczne, idealistyczne, niemające uzasadnienia bzdury. Drogi panie – bzdury, ot co. Nie fałszywe a bezsensowne. To, co sensowne, musi być sprawdzalne. Duch? Z punktu widzenia języka ‘duch’ to nonsens”.

Aktywność naszego „Wittgensteina” (już tylko tak o nim mówiono) nie słabła. Kontynuował cykl wykładów, które czasami przyciągały więcej niż paru słuchaczy. Założył „koło problemów matematycznych i przyrodniczych”; miało nawet spore powodzenie,

szczególnie wśród maturzystów, ale zmuszało drugiego matematyka, panie uczące fizyki, chemii, no i mnie, do aktywnego współuczestnictwa, co (wyjąwszy moją osobę) nie budziło entuzjazmu i powoli budowało oporowy mur pomiędzy nim a resztą kolegów i koleżanek nauczycieli. Sytuację pogarszał trudny charakter Jakuba; wydawał się nie zważać na czyjąkolwiek opinię, mówił hardo każdemu, co o nim myśli, a taki weryzm nie jest przyjemny, szczególnie gdy wiemy, jak bardzo jest uprawniony. Nie znosił też uczniów odbiegających poziomem od norm powszechnie przyjętych i dręczył ich okrutnie, wręcz poniżał. Słyszałam o płaczu w toalecie i ponurych groźbach wszystkich gnębionych. Pedagogicznie wątpliwe metody przyniosły wkrótce efekty w postaci skarg uczniów, uczennic, potem rodziców i opiekunów. Czara się przełamała, gdy spoliczkował drugoklasistę, wściekły na jakieś kolejne kretyńskie zachowanie (przecież, według dotychczasowych standardów szkoły dość przeciętne, zwyczajne, powszechne). Dyrektor, który od początku nastawiony był nieufnie do „krakowskiego podrzutka” i przyglądał się z krytyczną uwagą oraz niejakim napięciem samowolnym i balansującym na linie poczynaniom młodszego kolegi, teraz wreszcie znalazł podstawę do przykrócenia gówniarza. Wkroczył twardo, kategorycznie. Po tej rozmowie Jakub zamknął się w sobie, schował, cofnął, iskry w jego wzroku zgasty, wibracje gdzieś odpłynęły. Wykłady zawieszono, koło naukowe straciło rozmach i kręciło się już tylko siłą rozpędu; pozbawione przywództwa marniało i gasło.

Wtedy zbliżyliśmy się do siebie. Nie był może zbyt wyrafinowanym kochankiem, niezbyt uczuciowy, nie potrafił przelać na drugą osobę ciepła, którego sam zwyczajnie nie miał. Ale przekazywał mi resztkę energii, tę, która mu jeszcze pozostała, i ogrzewał mnie jakoś – choć to wydaje się dziwne – tą iskrą bożą, która w nim tkwiła. „Napiszę teraz podręcznik matematyki dla klasy pierwszej. Ten, który obowiązuje, jest zupełnie nie do przyjęcia. Jak można tak uczyć liczb naturalnych czy indukcji, jak można tak bezsensownie wyklądać podstawy teorii mnogości? Już Russell...”. Coś tam nawet zaczął pisać, robił jakieś notatki, ale sam chyba nie wierzył, że znajdzie w sobie dość wytrwałości, żeby zmierzyć się z zadaniem, jakże innym od tego, co zwykle robił wieczorami.

A wieczorami próbował pracować nad tym swoim „małym traktatem”; jeśli akurat nie usiłował wyjaśnić mi (bezsukutecznie) pojęcia „zdania elementarnego” czy różnicy między „sensem i znaczeniem” (w co wkładał dużo serca) albo nie przytulał mnie do siebie, pieszcząc niezdarnie (w tym już serca tyle nie było). Złościł się często, rzucał wtedy w ścianę reprintami pism filozofa albo którymś z komentarzy, krzyczał wtedy na siebie: „Jesteś durniem, imbecylem! Będziesz do końca życia siedział w tej dziurze, między takimi jak ty kretydami, i debatował nad szklanką lodowatej, cienkiej herbaty, czemu torebka ekspresowej kręci się w

prawo, a nie w lewo. Tak nigdy nie stanę się tym trzecim, którym go zrozumiał. Boże, uciec mi stąd jak najprędzej. Wyrwać się z tej muchołapki!”. Opowiedział mi kiedyś, jak to bezskutecznie przez szereg nocy usiłował uchwycić chwilę, w której zasypia, i mówił, że według Wittgensteina ze śmiercią jest tak samo. Nie jesteśmy jej świadomi, z *definicji*. „Jeśli to prawda – jest to mądrze urządzone”.

Szybko zbliżał się koniec roku szkolnego. Wiosna trochę nas wszystkich wyprostowała, ale Jakub nagle poczuł się źle. Wychudł, twarz mu pożółkła, zaczął skarżyć się na ból w dole brzucha. Nie pomógł mi w przeprowadzce do nowego mieszkania; dźwiganie paczek, walizek, pudełek – to już było ponad jego siły. Nie przyszedł nawet na parapetówkę do mojego M2. „Wystarczy, że zrobiłem ci projekt urządzenia tej dziupli”. Ledwo dociągnął do rozdania świadectw. Któregoś dnia na początku lipca po prostu zniknął. Po paru miesiącach przyszła kartka pocztowa, pisał w niej, że leży w szpitalu w Krakowie i czeka na jakieś wyniki. Na kartce był dopisek: „O czym nie można mówić, o tym trzeba milczeć”. Pojechałam nawet odwiedzić Jakuba w tej klinice, ale go tam nie było. Pod wskazanym w szpitalu adresem też nie mieszkał.

A teraz mówisz mi, że nie żyje. Że następnej zimy zaniechał pisania tej swojej rozprawy, że... że zrezygnował z dalszego ciągu. Czytałam potem, dużo później, biografię filozofa. Czy wiesz, że jego trzech braci popełniło samobójstwo? To był taki czas – początek wieku; młodzi ludzie czuli w sobie przemożną siłę, która ich ciągnęła w stronę wiecznej mgły. *Cause célèbre*, ponurym wzorem był Otto Weininger, poeta. Ludwig oparł się złemu urokowi; wiele lat później umarł na raka, zwyczajnie. Jego ostatnie słowa: „Powiedz im, że miałem cudowne życie”. Czy...?

Jeśli to prawda – jest to mądrze urządzone.

\*\*\*